

egzemplarz bezpłatny

ISSN 1732-6494 nr 29, czerwiec 2008

mixer

magazyn studentów

Krakowskiej Szkoły Wyższej im. Andrzeja Frycza Modrzewskiego

M jak miłość. Ś jak śmierć

Rozmowa z Marcinem Świetlickim
s. 12-15



miXer

magazyn studentów

Krakowskiej Szkoły Wyższej im. Andrzeja Frycza Modrzewskiego

Nr 29 czerwiec 2008

3 Apéritif

PoWaGa

Politycznie Ważne Gadanie

- 4 Umiłowanie mądrości
- 5 O dobrym wychowaniu i zimnym piwie
- 6 Myśleli, że są bezkarni...

StuDnia

Studencki Drogowskaz Intelktualny

- 8 W życiu ważne jest, aby wiedzieć, że możemy liczyć na pomoc przyjaciół
- 10 Inaczej się tu mieszka...

Temat z okładki

- 12 M jak miłość. Ś jak śmierć

Kraków od spodu

- 16 KAŻDY SIĘ WYSZALAŁ...
- 17 Biegali wokół Plant
- 18 Elitarna szkoła dla elit

KUMulus

Kulturalny Uzupełniacz Młodzieży

- 19 – Gdyby ktoś był wyznawcą Boba Marleya, mógłby się poczuć urażony...

FeLieTon

Fobia Ludzi Trudnych

- 22 Azjatyckie specjały w POPformie
- 24 Ecce Homo

redaktor naczelny Bartłomiej Misiniec

zastępca redaktora naczelnego Szymon Wróbel

redakcja Iga Bałos
Iwona Faron
Grzegorz Makuch
Joanna Oparcik
Agnieszka Proszak
Magdalena Zakrzewska
Anna Zielińska
Mateusz Płocica
Bartosz Walat
Maciej Pietrzyk
Daniel Wilk

zdjęcia Mirosław Żak

dtp i okładka Mateusz Janusz (hussars.pl)

adres do korespondencji mixer_ksw@interia.eu

druk Drukarnia Leyko
tel. 012 656 44 87

nakład 2000 egzemplarzy

opieka redaktorska Maciej Malinowski
(Wydział Politologii
i Komunikacji Społecznej)

Redakcja zastrzega sobie prawo do redagowania tekstów oraz zmiany ich tytułów. Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych.



Bartłomiej Misiniec redaktor naczelny

Apéritif

Sesja egzaminacyjna trwa w najlepsze, a my oddajemy w Wasze ręce ostatni w tym roku akademickim numer „Mixera”.

Jako temat z okładki przedstawiamy rozmowę z Marcinem Świetlickim, pisarzem i poetą, a jednocześnie członkiem zespołu „Świetliki”, którego Bartosz Walat pytał m.in. o różne aspekty bycia ikoną, esencję Krakowa, a także o to, jak przebiegał proces wkraczania poety na scenę koncertową.

Warto zajrzeć do StuDnI, gdzie poznacie historię niepełnosprawnego Piotrka, którego życie odmienił Internet i który sam stara się teraz pomagać osobom w podobnej sytuacji. Jego niespożyta energia i przedsiębiorczość mogą stanowić wzór dla wielu z nas.

W numerze znajdziecie też podsumowanie juvenaliowego szaleństwa, relację z pierwszego biegu Cracovia INTERRUN 2008 oraz z odwiedzin w knajpce „Youmiko” przy ul. Szczepańskiej 7, gdzie na sushi wybrała się nasza redakcyjna koleżanka.

Pewnie zdążyliście już zauważyć, że w klubie studenckim na ul. Herlinga-Grudzińskiego 1 (budynek A) otwarto Wystawę Grafik Komputerowych Studentów IV Roku Malarstwa KSW. Inspiracją dla młodych artystów były słowa z Ewangelii św. Jana, Ecce Homo! – Oto człowiek! Zachęcamy wszystkich do obejrzenia ekspozycji, która na pewno skłoni do ważnej i potrzebnej dziś refleksji nad istotą człowieczeństwa. ■

Nie po to Sokrates sprowadził filozofię z nieba na ziemię,
żebyśmy teraz przechodzili obok niej obojętnie...

Umiłowanie mądrości

*Lepiej, żeby człowiek nie dorósł tak zupełnie,
żeby trochę pozostał dzieckiem.
Bo tylko dzieci zadają ważne pytania
i naprawdę chcą się czegoś dowiedzieć...*
Ryszard Kapuściński

Maciej Pietrzyk

Filozofia to przedmiot, który jest utrapieniem większości studentów i to nie tylko tych z „umysłami ścisłymi”. Także osoby ukierunkowane humanistycznie traktują filozofię jako konieczne zaliczenie. Czasem trudne, czasem dziwne, ale już na pewno nudne. Czy jest to nauka zupełnie oderwana od realiów otaczającego nas świata? Pozornie tak. Ale tylko i wyłącznie pozornie.

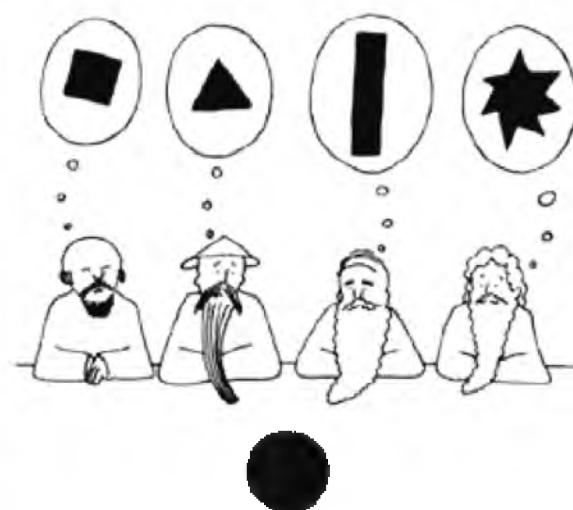
Filozofię przeważnie tłumaczy się jako umiłowanie mądrości. I zakładam, że każdy z nas zna to pojęcie, ale już nie każdy miał czas i ochotę, żeby się w to zagłębić, by choć przez chwilę przemyśleć istotę rzeczy. Zwykle wprost od definicji przechodzi się bezmyślnie do historii tej nauki. Zaczyna się od filozofów przyrody, następnie jest Sokrates, Platon i Arystoteles. Później brniemy przez hellenizm, Rzym, średniowiecze itd., aż do współczesności. Napotkane po drodze pojęcia i zawile myśli łączą się w jedną całość i mieszają, jak „korzenie wszystkich rzeczy” u Empedoklesa. Zdobyta w ten sposób wiedza staje się wybiórcza, niejasna, a przede wszystkim bardzo ulotna. A w filozofii nie o to przecież chodzi...

Filozofia to próba odpowiedzi na podstawowe pytania, takie jak: kim jesteśmy i dlaczego żyjemy? Studiowanie słów największych myślicieli nie da nam gotowej odpowiedzi, jednak może się okazać bardzo pomocne w formowaniu naszego własnego poglądu na życie. A już każdy z nas musi znaleźć własną odpowiedź. Może się to wydawać karkołomne i niemożliwe, ale równie dobrze trudności mogą być tylko iluzją.

Każdy z nas, czy sobie zdaje z tego sprawę, czy nie – filozofuje. Każdy zadawał sobie kiedyś pytania: skąd się wziął świat? czy istnieje życie po śmierci? czy jest Bóg? Na pewno każdy nieraz pytał o sens. I tu właśnie jest istota filozofii. Jedyne bowiem, co potrzeba, by zostać filozofem, to zdolność do dziwienia się światem. Taką cechą przejawiają zwłaszcza dzieci, które zadają szereg dziwnych, wydawałoby się, bzdurnych, a jednak skomplikowanych pytań. Potrafią dziwić się światem, dążą do wyjaśnienia rzeczy pozornie oczywistych.

Niestety, później dorosłej, tracą zdolność do dziwienia i przyzwyczajają się do świata jako takiego. Tak jest w większości przypadków. Jesteśmy tak bardzo pochłonięci codziennymi sprawami, że zdumienie samym życiem odpychamy w najgłębsze zakamarki myśli. A to właśnie filozofia pomaga nam odzwyczaić się od świata. Ukazuje, że można go traktować jako coś tajemniczego, zagadkowego, a jednocześnie fascynującego, czyli uczy spojrzenia z punktu widzenia wieczności.

Tak więc filozofowanie rozpoczyna się od rzeczy tak prozaicznej, jak zdziwienie. Jednak chcąc pójść do przodu choćby o krok, warto się posłużyć drogowskazami, czyli historią myśli filozoficznej. Taka właśnie powinna być kolejność: najpierw zdziwienie (może także zwątpienie), a dopiero później pójście drogą najwybitniejszych. Nie jest to wówczas oderwana od rzeczywistości „sucha” wiedza, lecz naprawdę fascynująca podróż w głąb wszechświata. Warto poznać, a przede wszystkim przemyśleć to, co ludzie rozważają od tysięcy lat,



bo nie po to Sokrates sprowadził filozofię z nieba na ziemię, żebyśmy teraz przechodzili obok niej obojętnie, a nawet z despektem. Może pewną motywacją będą słowa Goethego: „Komu trzy tysiące lat nie mówią nic, niech w ciemności niewiedzy żyje z dnia na dzień...”.

Trochę się powymądrzałem, więc czas na małe sprostowanie. Mimo że pierwszy raz miałem do czynienia z filozofią już w podstawówce, to nadal jestem pełnym dyktantem w tej materii. Moje filozoficzne myślenie ciągle pozostaje na poziomie podstawowym i można je bez problemu sprowadzić do absurdu. Jestem już na tyle przyzwyczajony do świata i na tyle pochłonięty sprawami codziennymi, że z trudem przychodzi mi dziwienie się światem. Jednak pewnym bodźcem, który przypomina mi o wartości filozofowania, jest książka Jostaina Gaardera „Świat Zofi”.

To fascynująca, łatwa powieść wprowadzająca w świat największych myślicieli. Ukazuje złożoność, a zarazem niezwykłą prostotę filozofii. Pozwala zrozumieć, że na filozofowanie nigdy nie jest ani za wcześnie, ani za późno. A zatem zaczynamy, czas dokończy... ■

O dobrym wychowaniu i zimnym piwie

Michał Kowalówka

Nie tak dawno temu obejrzałem w Teatrze „Stu” monodram pod tytułem „Wielkie kazanie księdza Bernarda” z wyśmienitym Jerzym Trelą w roli tytułowej. Podczas sceny, gdy bohater wykrzykiwał w kierunku publiczności słowa „opamiętajcie się!” czy „popatrzcie, kim jesteście!”, młodej damie w pierwszym rzędzie zadzwoniła komórka. Sytuacja wyglądała groteskowo, część widzów zaczęło chichotać. Sam Trela resztę rozpoczętego monologu wygłosił właśnie do młodej, zakłopotanej dziewczyny. Pomyślałem wtedy, że wiekowo dojrzała większość publiczności zgromadzona na widowni będzie później ową historię komentować z przekąsem: „Ach, ta dzisiejsza młodzież, nawet w teatrze nie potrafi się zachować!”.

Kilkanaście dni później miałem przyjemność zobaczyć „Zbrodnię i karę” w teatrze „Bagatela”. Niedaleko mnie siedziała sędziwa, elegancka kobieta, która na tle zawodzeń Raskolnikowa głośno i nieskrępowanie chrapała przez cały niemal drugi akt. Mimo że znacznie uprzykrzyła sąsiadom śledzenie akcji na scenie, nikt nie miał śmiałości wyrwać jej ze snu. Jest truizmem i oczywistą oczywistością, że młodość nie ma monopolu na głupotę, tak jak wiek dojrzały – immunitetu chroniącego przed niekulturalnym zachowaniem. Nieprawdaż?

Podobnie dzieje się w uczelnianych murach. Studenckie szepty, z zapalem godnym lepszej sprawy prowadzone w trakcie wykładów dialogi, szeleszczące gazetami, śmiechy z byle czego, a czasem i odgłosy odbywanych rozmów tele-

fonicznych... takie sytuacje znamy wszyscy doskonale.

Drugą stroną owego ciężącego, niechlubnego medalu są niekiedy zwyczaje wykładowców, którzy mogą się pochwalić wysokimi przeciętami tytułami naukowymi. Jeden profesor ma kaprys ze znudzoną miną nie odpowiadać na usłyszane „Dzień dobry”, inny bardzo swobodnie traktuje punktualność i godzinę rozpoczęcia zajęć. Wielu studentów pamięta nieskrępowanie wykładowców odbierających komórki, zwykle uprzedzających zażenowanie słuchaczy stwierdzeniem: „To naprawdę śmiertelnie ważny telefon”. Następnie słyszy się kilka zdań o kupowaniu jarzyn czy umawianiu wizyty elektryka. Jasne jest, że w każdej zbiorowości znajdziemy zachowania ludzi godne naśladowania i te śmieszne, czy wręcz karykaturalne.

Nie chcąc popaść w infantylne krytykanctwo i nie zamierzając przekraskować problemu, zastanawiam się jednak, czy zajęcia, na których nie można wysiedzieć, są takie dlatego, że studenci nie stają na wysokości zadania, czy też вина leży bardziej po stronie pedagogów (mam na myśli ich brak zaangażowania, a nierzadko i kompetencji). Możliwe, że profesor, zniechęcony niewielkim zainteresowaniem sali, sam traci namietność wobec omawianego przedmiotu. Lecz możliwe również, że niewinny student zahipnotyzowany monotonnym, beznamiętnym tonem



wykładowcy gubi poczucie rzeczywistości i całkiem wbrew sobie rozpoczyna niedorzeczne dyskusje z podobnie opętanymi kolegami. Pewnie prawda leży pośrodku...

Nie mam ochoty na moralizowanie, więc uciekam do puenty. Z coraz większym podziwem spoglądam na tych ludzi nauki, którzy swą wiedzę potrafią sprzedawać jak dobre, zimne piwo – sprawiające studentom przyjemność, a w stosownych ilościach pobudzające ich młodzieńczy apetyt. Oczywiście mowa o apetycie na zdobywanie wiedzy... ■

Abolicja dla klubów zamieszanych w korupcyjną aferę może się stać (paradoksalnie) jedynym pomysłem ratowania polskiej piłki...

Myśleli, że są bezkarni...

Daniel Wilk

Jeden z meczów piłkarskich niższej ligi, ostatnia kolejka sezonu... Goście w tym spotkaniu „grają o wszystko”, muszą zwyciężyć. Dla gospodarzy to „mecz o pietruszkę”, starają się jednak pokonać rywala z sąsiedniego regionu. Gospodarze niespodziewanie obejmują prowadzenie, pod koniec meczu w kontrowersyjnych okolicznościach, po niezrozumiałej decyzji sędziego, z karnego wyrównuje drużyna gości. Mija 90. minuta meczu, wynik remisowy nie daje przyjezdnym awansu na wyższy szczebel rozgrywek. Sędzia dolicza 5 minut, spotkanie kończy się jednak po bramce strzelonej przez gości w... 106 minucie meczu, czyli 16 minucie doliczonego czasu gry!

Baraż o grę w ekstraklasie Garbarnia Jaworzno – Świt Nowy Dwór Mazowiecki, sezon 2002/2003. Pierwsze z dwóch spotkań, atakuje drużyna z Jaworzna, stwarza kilka groźnych sytuacji, jednak kilkakrotnie, kapitalnie interweniuje bramkarz Świtu. Słowak Boris Peskovič naprawia błędy nieporadnie grających obrońców. Mecz jest transmitowany przez Canal+, na trybunach zasiada 7000 kibiców. Dobiega końca pierwsza połowa gry. Peskovič schodzi z boiska żegnany brawami przez kibiców Świtu, czuje się jak bohater, ale w szatni dochodzi do... linczu na Słowaku. Zaatakowany przez kolegów z drużyny, słyszy: „Co ty, k... wa, robisz? Wszystko sp... dolisz!”.

Pierwszoligowe spotkanie pomiędzy drużynami walczącymi ze sobą o miejsce w czołówce ligowej tabeli. Mecz przyjeżdża sędziować znany ligowy arbiter, przed meczem prosi o rozmowę kierowników obu drużyn. Żąda zapłaty za sędziowanie, obie drużyny nie są jednak zainteresowane kupnem meczu.

Jak mi nie zapłacicie, zrobię wam tu taki cyrk, jakiego długo nie zapomnicie – wypala sędzia. Dochodzi do licytacji, drużyna, która zapłaci więcej, zyska atut w postaci przychylnego sędziowania.

Korupcja w polskiej piłce sięga od najniższych klas rozgrywkowych (gdzie gra się i sędziuje raczej dla własnej przyjemności niż dla pieniędzy) do najwyższej (gdzie grają reprezentanci Polski). Nie ma w Polsce drużyny, która nie otarła się o korupcyjną machinę, nie ma piłkarzy, trenerów, sędziów, działaczy, którzy o niczym nie wiedzieli.

Dariusz Wdowczyk, znany i ceniony trener, mistrz Polski z Legia i Polonia Warszawa zatrzymany przez CBA, przyznał się, że gdy był trenerem trzecioligowej Korony Kielce, kupował mecze od sędziów. Organizował zbiórki w drużynie, zebrane pieniądze osobiście wręczał sędziom przed spotkaniem. Korona Kielce była najbogatszym trzecioligowym zespołem z pierwszoligowymi piłkarzami, aspiracjami i umiejętnościami trenerskimi Wdowczyka. „Żółtkrwiści” w sportowej rywalizacji wywalczyliby pewnie awans do drugiej ligi, futbolowe realia nakazywały jednak kupić awans, który bez przychylności arbitrów byłby niemożliwy. O awansie bądź spadku decydowali sędziowie, działacze obserwatorzy z ramienia PZPN.

Wit Z., były sędzia, później obserwator, działacz PZPN, cieszył się wielkim autorytetem. Wyznaczał arbitrów na ligowe spotkania, z trybun oceniał ich pracę. Był ekspertem Canal+ do spraw sędziowskich pomyłek, w każdym podsumowaniu ligowej kolejki interpretował kontrowersyjne decyzje sędziowskie. Zeznania zatrzymanych arbitrów nie pozostawiły żadnych wątpliwości. Wit



Michał Lisicki, prezes PZPN

Z. delegował na mecze sędziów, którzy w zamian za dobrą notę gwizdali zgodnie z wolą przełożonego.

Główny boss piłkarskiej mafii Ryszard F., „Fryzjer”, wieloletni obserwator, działacz PZPN, znakomicie potrafił podporządkować sobie piłkarskie środowisko. Większość pierwszoligowych sędziów pracowała objęta protekcją „Fryzjera”. Ryszard F. organizował bankiety, na których pojawiały się znane piłkarskie osobistości. Jeden ze

świadków w aferze korupcyjnej zeznał, że na owych bankietach „Fryzjer” oferował uczestnikom możliwość spędzenia nocy z prostytutkami. Nieświadomi podstępnie goście korzystali z dobrodziejstw gospodarza. „Fryzjer” ukrytą kamerą nagrywał spotkania, by później szantażować ich,

piłkar-
skich. Rzą-
dowa interwencja w struktury PZPN-u wiązałaby się z wykluczeniem polskich drużyn z europej-

gro-
żąc ujaw-
nieniem
dyskryminu-
jących nagrań
żonom biesiad-
ników. W efekcie
dziennikarze pisali
to, co chciał Ryszard
F., a PZPN był mario-
netką w rękach bossa.

Mimo rażących uchybień, braku reakcji na patologię niezmieniony zarząd PZPN niezawisłe władze polską piłką. Minister sportu nie może go odwołać, ponieważ europejska federacja piłki nożnej nie zezwala na ingerowanie polityków w działania związków

s k i c h
r o z g r y w e k,
dyskwalifikacją re-
prezentacji Polski i odebra-
niem organizacji Euro 2012. Członkowie PZPN-u doskonale o tym wiedzą i nie podejmują żadnych decyzji intensyfikujących walkę z korupcją.

Działacze terenowi (16 wojewódzkich związków piłkarskich) kryją swoich znajomych, zamieszanych w korupcję. Rok temu mówiono o wzrastającym poziomie polskiej piłki, pełnych trybunach, poprawiającej się sytuacji finansowej klubów, dzisiaj przyszłość polskiego futbolu staje pod znakiem zapytania. Wycofanie się milionera Krzysztofa Klickiego z finansowania Korony Kielce może się stać początkiem dezercji innych inwestorów. Degradowanych karnie do niższych lig drużyn nie ma kto zastąpić, gdyż większość zespołów boryka się z problemem braku niezbędnych do gry w pierwszej lidze, bezpiecznych stadionów, podgrzewanej murawy i oświetlenia.

Trudno również wyobrazić sobie ligę, w której zamiast meczu Legia - Wisła hitem kolejki jest mecz Jeziorak Iława - Mlekovata Wysokie

Mazowie-
ckie. Abolicja
dla klubów zamie-
szanych w korupcyjną aferę
z niesprawiedliwego i niedorzecznego
działania może się stać (paradoksalnie)
jedynym dobrym pomysłem ratowania
polskiej piłki nożnej... ■



Magdalena Zakrzewska

„Dom, o jakim marzę, podobno nie istnieje. Dla mnie dom to rodzina i razem z nią spędzone chwile, płacz dziecka, kominek i kolacja z bliskimi w blasku świec. Wiem, że to brzmi jak bajka, ale właśnie o takim domu marzę”.

O Piotrze po raz pierwszy usłyszałam od koleżanki, która z wielką pasją studiuje pedagogikę i bardzo chętnie działa w różnych organizacjach charytatywnych. Ewelina zaprzyjaźniła się z Piotrem i pomaga mu założyć fundację. Wie, jak ważna jest pomoc innych ludzi. Dlatego zwróciła się do mnie z prośbą o napisanie chociaż krótkiej informa-

cji o najnowszej akcji organizowanej przez Piotra. Jednak po tym, co usłyszałam, wiedziałam, że Piotr i jego starania o lepsze życie dla siebie i innych zasługują na coś więcej niż parę zdań z podaniem adresu internetowego.

Piotr Dolny ma 28 lat, jest jedynakiem i mieszka z rodzicami w Sosnowcu. W bloku. To ważna informacja, gdyż Piotr jest niepełnosprawny i jeździ na wózku. Urodził się z dziecięcym porażeniem mózgowym. Pomimo choroby jest bardzo samodzielny i wcale nie stara się za wszelką cenę uniezależnić od pomocy innych. Wręcz przeciwnie – wie, że tylko dzięki dobroduszości ludzi i pomocy prawdziwych przyjaciół marzenia się spełniają.

Tak też było w przypadku jego pierwszej akcji „Wózek”, której celem było zebranie środków finansowych z przeznaczeniem na zakup wózka inwalidzkiego aktywnego. Początkowo Piotr zwracał się z prośbą o pomoc tylko do firm i różnych instytucji, a później bezpośrednio do ludzi, poznanych również przez Internet. Udało się! W 2005 roku ruszyła kolejna akcja: „Samodzielność”. Tym razem celem było mieszkanie. Lokum w pełni przystosowane do potrzeb osoby niepełnosprawnej, bez barier architektonicznych i nieprzyjemnych pułapek. Jednak po dokładnych kalkulacjach, gorących dyskusjach i namowach przyjaciół, Piotr



postanowił, że najlepszym rozwiązaniem będzie dom.

To będzie dom inny niż wszystkie. Dom, w którym powstanie fundacja, której działalność pokaże, że osobom takim jak Piotr nie wolno się nigdy poddawać. Piotr mówi, że ma ogromne szczęście, że na swojej drodze spotkał ludzi, którzy w niego uwierzyli, włączyli się w jego akcję i tak samo jak on widzą, że warto jest nieść pomoc innym. „Ten dom niesie ze sobą właśnie to, co najważniejsze: otwarcie ludzi na potrzeby niepeł-



nosprawnych, włączenie ich do normalnego funkcjonowania, a także ogólnie pojmowaną integrację. Nie taką z billboardów czy reklam telewizyjnych” – mówi Ewelina. Dom ma stać w **Zduńskiej Woli**. Dlaczego akurat tam? Piotr zakochał się w tym miejscu podczas spaceru w parku. Jest jeszcze jeden bardzo ważny powód. Zduńska Wola leży niemal w samym środku Polski, a przyjaciele Piotra pochodzą z różnych stron kraju, a więc sprawiedliwe będzie to, że każdy będzie mieć do Piotrka taki sam kawałek drogi.

Piotr od dwóch lat szukał odpowiedniej działki. Ze względu na jego sposób poruszania, musiała znajdować się przy asfaltowej drodze z chodnikiem i blisko centrum. Działka jest wąska, a na niej stare budynki. Na szczęście Piotr otrzymał pozwolenie na rozbiórkę i wyczyszczenie jej do zera. We wszystkich kwestiach formalnych i prawnych może liczyć na przyjaciół.

Finałem i jednocześnie spełnieniem wielkiego marzenia Piotrka i jego przyjaciół będzie wybudowanie domu i uruchomienie działalności fundacji. Ich aktywność cieszy się coraz większym zainteresowaniem. Do Piotra zwracają się media, dziennikarze, którzy przeprowadzają z nim wywiady w radiu czy w gazecie. Jednak najważniejsze jest zainteresowanie zwykłych ludzi, którzy włączają się do akcji i pomagają Piotrowi nie tylko w kwestiach finansowych, ale także organizacyjnych. Pomogą, dodając mu otuchy i zachęcając do dalszego wytrwałego działania.

Niestety, nie miałam jeszcze okazji spotkać się z Piotrem osobiście. Utrzymujemy kontakt przez Internet, dlatego postanowiłam zamieścić fragmenty „wirtualnego wywiadu”. Jednocześnie zwracam się z ogromną prośbą do wszystkich, którzy chcieliby dowiedzieć się więcej o Piotrze i jego akcji oraz pomóc spełnić jego marzenia. Pierwszym i najważniejszym krokiem jest odwiedzenie internetowej strony Piotra www.piotrek.mmg.com.pl, na której znajdziecie jego dane kontaktowe, informacje dotyczące akcji, a także wiele ciekawostek z życia prywatnego.

– **Na swojej stronie internetowej piszesz, że Internet jest twoim „oknem na świat”. W jaki sposób wykorzystujesz wirtualną przestrzeń?**

– **Piotr Dolny:** – Moja przygoda z Internetem zaczęła się 7 lat temu.

Na początku to była tylko zabawa. Jednak później zorientowałem się, że Internet będzie dla mnie narzędziem, którym będę się posługiwał. Dzisiaj wiem, że Internet może zmienić życie człowieka. Dać mu nieograniczone możliwości: pracę, naukę, a nawet miłość! Jednak trzeba być ostrożnym w kontaktach z ludźmi, których spotykamy w sieci. Myślę, że Internet jest „oknem na świat” dla wielu ludzi w podobnej do mojej sytuacji. Osoby niepełnosprawne często nie mają dużego kontaktu z rówieśnikami.

– **Jak Internet zmienił twoje życie?**

– Przede wszystkim otworzyłem się na kontakty z ludźmi. Słucham ich i poznaję, co pomaga mi także na realizowanie się w pracy. Trzeba mieć szczęście, aby trafić na odpowiednich ludzi, a moim zdaniem kluczem do sukcesu jest to, aby pozostać sobą i nie kreować sztucznego wirtualnego wizerunku.

– **Podczas akcji wysyłałeś mnóstwo e-maili do przypadkowych ludzi. Teraz sam otrzymujesz dużo listów. O czym ludzie do ciebie piszą? O co pytają?**

– Tak naprawdę wysyłając mój list w świat, nigdy nie wiem, kto go odczyta. W pierwszej fazie wysyłania listów nie znam ludzi, tylko adresy e-mail. Odbiorcami mojego apelu są wszyscy. Często dostaję listy od maluszków, w których piszą: „Mam na imię Ania, mam 10 lat i dostałam od pana list. Nie mam jeszcze swoich pieniędzy i nie mogę pomóc, ale wierzę, że się uda”. Taka odpowiedź jest dla mnie zaskakująca i niezwykle cenna, bo wiem, że te dzieci piszą szczerze, chociaż o wielu rzeczach nie mają pojęcia. Z drugiej strony wykazują się dojrzałością i wrażliwością, której często brakuje nam – dorosłym.

– **Odpisujesz na każdy list? Nawet na list o przykrych treści?**

– Tak, odpisuję na każdy list. Zdarzają się listy ciężkie, nieprzyjemne, a nawet wulgarne. Na nie też odpisuję. Robię wyjątki tylko wtedy, kiedy pan X pisze wprost, że sobie tego nie życzy.

– **Jak wtedy reagujesz?**

– Jak reaguję? A jak myślisz? Źle. Cierpię. Były momenty, że po takim liście nie siadałem do komputera przez parę dni. Jednak z czasem zrozumiałem,

że nie robię nic złego, a to, że ktoś ma inne zdanie, to jego prawo. Czasem to bardzo przeżywam, ale trwam, bo wiem, że warto.

– **Czym obecnie się zajmujesz?**

– Pracuję w domu przez Internet dla jednej z warszawskich firm. Cały czas prowadzę akcję i pomagam innym jako wolontariusz. Szukam sponsorów. Piszę również wiersze.

– **Na twojej stronie internetowej jest wiele twoich wierszy. Piszesz również, że jesteś w trakcie pisania książki. O czym ona będzie?**

– Książka będzie finałem moich działań. Swoistym podziękowaniem dla was za to, czego dokonaliśmy razem. Będzie o bólu, cierpieniu, życiu, prawdzie, ludziach, smutkach, ale też radościach.

– **O jakim domu marzysz?**

– Dom, o jakim marzę, podobno nie istnieje. Dla mnie dom to rodzina i razem z nią spędzone chwile, płacz dziecka, kominek i kolacja z bliskimi w blasku świec. Wiem, że to brzmi jak bajka, ale właśnie o takim domu marzę. Tego nie da się kupić za żadne pieniądze. W moim domu nie będzie kłamstwa i obłudy. Zawsze to powtarzam.

– **Na stronie piszesz, że daleko ci do szczęścia, ale wpis pochodzi z 25.10.2007r. Czy nadal jest aktualny?**

– Wpis jest jak najbardziej aktualny. Widzisz, tu nie chodzi o mnie, bo ja jestem nikim. Nie sztuką jest powiedzieć: jestem kimś. Każdy się do tego rwie. Nigdy nie wychodziłem przed szereg. Sztuką jest powiedzieć: „Jestem nikim” i mimo to pozostać sobą. ■

Stan większości dzisiejszych krakowskich kamienic pozostawia wiele do życzenia, lecz cóż by znaczyło to miasto bez pomników historii, jakimi one są?

Inaczej się tu mieszka...

Mateusz Płocica

W słoneczną niedzielę przechadzam się zazwyczaj ulicami Krakowa, mijam po drodze wiele interesujących i zabytkowych obiektów, które przypominają o minionych czasach. Są wśród nich kamienice mieszczańskie przedstawiające wszystkie możliwe style architektoniczne. Moją uwagę szczególnie zwracają zabytkowe budynki o ciekawym kształcie oraz niezwyklej zdobieniach przedstawiających kwiaty lub motywy roślinne. Zatrzymuję się przy nich na chwilę, aby choć przez

moment popatrzeć na bijące z nich piękno.

Choć wiele jest bardzo zniszczonych, gdyż odpadają od nich elementy fasady czy gzymsu, to jednak robią wrażenie monumentalne. Idąc dalej i mijając zabytkowe śródmieście Krakowa, dochodzę do miejsca, w którym znajdują się pierwsze bloki. Wybudowane w czasach komunizmu mołochy z wielkiej płyty straszą i przynębiają, i to nie tylko z powodu swojego wyglądu, lecz także barw koloru szaro-brunatnego. Nie ma w nich ani bogactwa barw, ani wymyślności architektonicznego stylu, ani też zabytkowych zdobień...

Trudno też znaleźć w ich konstrukcji coś, co by przyciągnęło uwagę. Zaraz obok bloków znajdują się ławki, na których siedzą pijący alkohol mężczyźni w młodym wieku, śmiejąc się i używając języka z rynsztoka, podczas kiedy obok znajduje się piaskownica, gdzie bawią się dzieci, które na co dzień są świadkami takich sytuacji... Wśród tego typu „krajobrazu” nie znajduję niczego, co by zwróciło moją uwagę.

O tym, jak wygląda życie w kamienicy, zapytałem jedną z jej lokatorek Magdę:

– *Kamienica to nie tylko miejsce, gdzie można mieszkać, ale także*



obiekt szczególnie powiązany z historią; wszystko jest w niej dawne: od żyrandoli po ogromne prostokątne okna, wysokie sufity oraz stare drzwi. Inaczej się tutaj mieszka niż w bloku, gdyż w większości kamienic nie ma możliwości podpięcia ogrzewania centralnego ze względu na ich wiek oraz konserwację, w zimie zatem mieszkanko ogrzewamy piecami elektrycznymi i jest nam ciepło, choć rachunki są dość duże. Mimo to w mojej kamienicy podoba mi się dość duża powierzchnia pokoi oraz jej wspaniała lokalizacja, która rekompensuje nam te minusy.

Okazuje się, że osób mieszkających podobnie jak Magda jest wiele. Większość kamienic w Krakowie położona jest bowiem w lokalizacjach niezwykle atrakcyjnych, np. obok Rynku Głównego bądź w ścisłym centrum, gdzie po prostu nie ma żadnych bloków. Kolejną sprawą jest cena mieszkań. Często bowiem bywa tak, że wynajem mieszkania w kamienicy jest znacznie tańszy niż wynajem w bloku i nawet po doliczeniu do tego kosztów ogrzewania i tak wychodzi taniej, ale oczywiście nie we wszystkich przypadkach...

Kolejny aspekt to stan większości kamienic w Krakowie. Choć większość z nich jest nie wyremontowana, to jednak zdarzają się od tego odstępstwa, zwłaszcza wtedy, gdy właściciele remontują swoją kamienicę w celu wynajęcia mieszkań np. dla kancelarii adwokackich czy biur. Obecnie obserwuje się również modę na wykupywanie zrujnowanych lub będących w złym stanie kamienic krakowskich w celu wyremontowania ich i urządzenia w ich wnętrzach eleganckich hoteli lub też prywatnych apartamentów, które najczęściej wynajmowane są przez przebywających w Krakowie w celach biznesowych obcokrajowców.

Nowością jest również to, że obecnie w Polsce zaczyna się pojawiać moda na kupowanie przez młodych ludzi, którzy do tej pory chcieli mieszkać w luksusowych apartamentach, starych lokali w kamienicach. Okazuje się bowiem, że ze względów finansowych taniej jest wydać nawet kilkanaście tysięcy złotych na remont „zapuszczonego” mieszkania w kamienicy w centrum, niż płacić bająnskie sumy za metr kwadratowy w nowoczesnym budownictwie na przedmieściach.

Wiele budynków zostało też wpisanych na listę zabytków Krakowa, dzięki czemu właściciele otrzymują dofinansowanie do remontów. Tylko w 2008 roku Stołeczny Komitet Odnowy Zabytków Krakowa rozdysponuje na remonty i konserwację zabytkowych obiektów kwotę 44 mln 850 tys. zł, dzięki czemu uda się uratować aż 109 zabytków w całym Krakowie. Największe pieniądze zostaną przeznaczone na remonty i konserwacje wzgórza wawelskiego, klasztoru benedyktynów w Tyńcu, klasztoru kamedułów na Bielanach, Sukiennic i palacu „Krzysztofor”. Kwota dotacji dla tych zabytków wynosi od 1 mln do 3,4 mln zł. Warto jednak podkreślić, że dzięki takiej

akcji skorzystają właściciele prywatnych kamienic, którzy niejednokrotnie ze względów finansowych nie byłoby w stanie pokryć z własnej kieszeni remontów sięgających od kilkudziesięciu tysięcy do kilku milionów złotych.

Mimo to minie jeszcze parę lat, zanim stan krakowskich obiektów zabytkowych będzie podobny do stanu zabytków w innych miastach Polski, gdzie remonty kamienic stały się chlubą władz miejskich, jak np. we Wrocławiu, w Gdańsku czy Poznaniu.

Oprócz funkcji mieszkalnej kamienice w Krakowie pełnią funkcję rozrywkowo-handlową. To właśnie w ich pomieszczeniach zlokalizowane są najlepsze sklepy oraz firmy prowadzące działalność gospodarczą. Jakby tego było mało, większość z krakowskich kamienic jest również miejscem klubów, gustownych restauracji, przytulnych zabytkowych herbaciarni czy rozkrzyczanych pubów, gdzie swój wolny od nauki, weekendowy czas spędza młodzież. Ożywają się one i zapelniają gośćmi zwłaszcza wieczorem, kiedy to wielu mieszkańców Krakowa wyrusza na spacer czy też spotyka się z przyjaciółmi. Zazwyczaj okazuje się wtedy, że nie można nigdzie znaleźć wolnego stolika, gdyż we wszystkich miejscach jest ogromny tłok. Nikogo to jednak nie dziwi i poszukiwania trwają dalej... Często, żeby znaleźć jakieś wolne miejsce do rozmowy, trzeba przejść nawet kilka ulic.

Taka sytuacja występuje zwłaszcza na Rynku. Jakby tego było mało, najciekawsze krakowskie puby czy kluby znajdują się na w głębokich piwnicach starych kamienic lub na strychach. Robi to ogromne wrażenie zwłaszcza na osobach spoza Krakowa, które widząc klub znajdujący się w piwnicy, zastanawiają się nad wejściem. Wrażenia ze spędzonego tam czasu są jednak na ogół udane, o czym świadczyć mogą rozmowy i dyskusje między studentami nad tym, które miejsce jest najpiękniejsze i najlepsze w całym mieście oraz gdzie warto iść z przyjaciółmi na kawę czy dyskotekę.

Krakowskie kamienice pełnią funkcje nie tylko historyczne, mieszkalne, architektoniczne, biznesowe czy rozrywkowe. Są one także wizytówką Krakowa i miejscem, w którym można się dobrze poczuć lub odpocząć. Dlatego też uważam, że to miasto wiele by straciło, gdyby ich zabrakło... ■

M jak miłość. Ś jak śmierć

O szufladkowaniu gwarantującym artystyczny zgon i wszystkich innych aspektach bycia ikoną rozmawiałem z Marcinem Świetlickim, poetą, który swoją postawą przyczynia się do jednoznacznego obalenia pogładowego schematu pisarza.



foto: www.trojmasto.pl

- Co jest dla pana esencją Krakowa?

- Przyjechałem do Krakowa w 80. roku i od tej pory kościół Mariacki jak stał tak stoi. Wawel też tu był i jest nadal. Nawet Zwierzyniec był, jak przyjechałem (*śmiech*). Tak naprawdę za zmianami nie przepadam.

- Co przyczyniło się w największym stopniu do decyzji o przyjeździe do tego miasta?

- ...bo do Warszawy nie chciałem jechać. Do liceum chodziłem w Lublinie, wszyscy koledzy też tam studiowali. Ja jednak byłem już znudzony. Stolica była najbliższej, ale już w młodym wieku jej nie lubilem. To, że wyjechałem daleko od domu było dość przyjemne. Poczulem się dorosły.

- Jestem przedstawicielem pokolenia, które w podręczniku licealnym

miało już dział poświęcony barbarzyńcy Świetlickiemu. Jak pan na to reaguje?

- Bogu dziękuję, że nie musiałem się o sobie uczyć. Gdybym teraz na przykład postanowił skończyć studia, to zapewne byłyby tam zajęcia poświęcone Świetlickiemu (*śmiech*).

Wiadomo, że historia literatury niektóre nazwiska zapamiętuje, inne nie. Ja zadebiutowałem w czasie zmian ustrojowych, kiedy było zapotrzebowanie

na nową literaturę, no więc szczęśliwie albo nieszczęśliwie zapamiętano właśnie mnie. Gdybym zaistniał dziesięć lat wcześniej lub później, co mogłem zresztą zrobić, to zapewne nikt by mnie nie zauważył.

- Jaka była w takim razie specyfika tamtejszych debiutów?

- Obecnie rynek wydawniczy jest o wiele bardziej aktywny niż wtedy. W latach 80. każda książka była swoistym świętem. Ludzie stali w długich kolejkach, by je kupić. Zadebiutowałem jako trzydziestolatek i nie promieniałem dumą w związku z publikacją pierwszego tomika. Podchodziłem do tego z dystansem. Teraz wydawanych jest dziesięciokrotnie więcej książek, ale wątpię, by na świecie było aż tylu ludzi, którzy mają coś sensownego do powiedzenia. Bardzo często myślę, zwłaszcza czytając poezję, że przecież ta książka nie musiała wcale powstać. Choć właściwie nie jestem wielkim znawcą. Jeżeli ktoś daje mi swoje wiersze, to udaję przed samym sobą, że je czytam.

- Od barbarzyńcy do ikony? Jest jakaś różnica między Marcinem Świetlickim z pierwszego okresu działalności a obecnie?

- Większej różnicy bym nie dostrzegł. Dziś jestem w stanie napisać też takie wiersze, jakie pisałem, mając kilkanaście lat, i nie czułbym z tego powodu wstydu. Być może bierze się to z tego, że już w samym momencie debiutu byłem gotowym poetą. Jestem przekonany, że z tego, co pojawiło się w pierwszym tomiku, usunąłbym może dwa, trzy wiersze. To, co wcześniej pisałem do szuflady, zostało już do tamtego momentu wytrzebione. Ta pierwsza książka była już dorosła. Co prawda czuję, że obecnie jest tak jakbym zawęził to co wcześniej pisałem. Teraz obsesyjnie krążę wokół stałych tematów. Podejrzewam jednak, że do głównej zmiany przyczyniła się praca z zespołem, która wyuczyła mnie pewnej rytmiczności i łakoniczności w pisaniu. Nie ma już miejsca na pierniczenie.

- Gdyby obecnie „przyplynał stątek piratów”, to wskazałby pan kogoś do sprzątnięcia?

- Gdy pisałem ten tekst, to byłem bardziej wściekły niż teraz. Myślałem,

że radykalne gesty ułatwią sprawę. Obecnie nie zabiłbym już nikogo, tylko po prostu powsadzałbym do więzienia. Jakies dożywocie może (*śmiech*). Prawdę mówiąc, to ja już się wyciszyłem. Odkąd odłączyłem się od życia społecznego, przestałem chodzić do pracy i oglądać telewizję, złością mnie tylko przypadkowe drobiazgi. Pijani turyści i deskorolkarze wkurzający za oknem psa to terazniejsze powody moich grymasów (*śmiech*).

- Teraz młodzi mają walczyć? Widzi pan w nich jakieś szanse?

- Jak obserwuję swojego syna, to nieraz ręce mi opadają i wydaje mi się, że w jego wieku byłem rozsądniejszy. Z drugiej zaś strony zaskakuje mnie bardzo często, dlatego też nie warto deklarować się, czy młódzież jest zła czy dobra. Nieraz po prostu zależy to nawet od pogody (*śmiech*). Generalnie młódzież mnie wkurza. Podejrzewam jednak, że jak ja byłem młody to też wkurzałem niemało osób.

- A więc pozwolę sobie teraz zapytać, jak wielka była to satysfakcja, gdy podczas pierwszego publicznego występu grupy „Świetliki”, Czesław Miłosz był zde gustowany...

- To nieprawda, że był zde gustowany. Wykazał się po prostu zdecydowanym brakiem zainteresowania (*śmiech*). Na pewno jednak nie podobalo się Szymborskiej! Cały ten występ to było dziwadło. Wszyscy poeci recytowali swoje wiersze, a ja przeraźliwie krzychałem do mikrofonu. To wygenerowało dość bolesny zgrzyt, który z jednej strony nas wszystkich wzruszał, z drugiej zaś rozśmieszał. Hoho, to było już przeszło piętnaście lat temu.

- Obecnie literatura zazwyczaj nosi znamię jakiejś korporacji. Pan sam doświadczył etykiety bruLionu. Jak bardzo to przeszkadza?

- Ja nikomu nie życzę podpinania się pod jakąkolwiek etykietę, bo to ma strasznie zły wpływ. Ja w „bruLionie” wydałem jedną książkę, od tego czasu powstało mnóstwo innych rzeczy, a i tak zawsze jestem z tym kojarzony. To polega na pewnego rodzaju przesadach. Jeżeli ktoś wypracuje sobie negatywną opinię o jakiejś marce, to nie tknie niczego spod

tego szyldu. Ja również nie jestem od tego wolny. Gdyby w „ha!arcie” ukazała się dobra książka, to i tak bym jej nie przeczytał, bo po zetknięciu się z kilkoma ich pozycjami już w ogóle nie wierzę w ich gust.

- Na internetowej stronie „Świetlików”, przypisany jest panu slogan „dekadent po stronie wartości” to się wyklucza, prawda?

- To zdanie jest autorstwa Grzegorza Dyducha. Tak naprawdę nie jestem ani dekadentem, ani po stronie wartości. Prawdziwi dekadenci siedzą w Piwnicy pod Baranami (*śmiech*). Jeżeli zacząłbym się określać to znaczyłoby to, że jestem już trupem.

- Moja prezentacja maturalna tyczyła ról i zadań poety w czasach współczesnych. Muszę przyznać, że gdy na końcu wystąpienia obaliłem temat, spytano mnie, dlaczego akurat tego Świetlickiego wziąłem, skoro treść tematu legia w gruzach...

- No tak, ale ja nie umiałbym nic na ten temat powiedzieć. Rolę i zadania ma rolnik, hutnik, górnik i polityk. Wydaje mi się, że to co związane jest z pisaniem powinno być właśnie poza takimi sferami. Oczywiście są tacy, którzy zadania mają. Przecież pisarki feministyczne mają role i zadania (*śmiech*). W każdym razie osobiście ról i zadań zawsze się wystrzegałem.

- Niejednokrotnie można napotkać na publikacje rozwodzące się na temat wulgarności pana wierszy. Skąd ta etykieta?

- To sprawa, która właściwie całkiem nie wiadomo, skąd się wzięła. Podejrzewam, że Czesław Miłosz w swojej twórczości użył więcej wulgaryzmów niż ja. Osobiście użyłem ich tylko kilka razy, ale były chyba użyte trafnie i postawione w odpowiednim miejscu, skoro ludzie tak to zapamiętali. Głównie poruszyła „Nieprzysiadalność” bo tam jak mantrę powtarzałem, że „ja to pierdolę”. W ogóle długo nie graliśmy tego na koncertach, bo z zasady jest tak, że jak ludzie słyszą nieprzyzwoity wyraz, to się głupio cieszą, a my nie chcemy takiej niskiej przyjemności ludziom sprawiać. Trzeba działać bardziej wysublimowanie (*śmiech*).

- Wydał pan mnóstwo tomików wierszy, obecnie zajmuje się pisaniem powieści kryminalistycznych. Wiado-

M jak miłość.

mo jednak, że dramatu pan nie napisze. Aż tak bardzo nie akceptuje pan teatru?

– Nie lubię patrzeć, jak się ludzie męczą, mówiąc nie swój tekst. To nie może tak być, że ktoś posługuje się nie swoimi słowami. Jeżeli powstałby teatr, w którym ludzie opowiadaliby o sobie, to wtedy byłoby to do zaakceptowania.

– Jak wyglądał proces kroczenia poety na scenę koncertową?

– To wszystko wyglądało jak przypadkowy wybryk. Nie miałem jeszcze wydanej pierwszej książki i nie wiedziałem czym się zająć. Byłem trzydziestoletnim człowiekiem, który właściwie nic w życiu jeszcze nie dokonał, i dlatego pomyślałem, że można by się powyglupiać w ten sposób. Pamiętam, że byłem na koncercie [Trupa Wertera Utrata – zespół przeistoczony w „Świetliki”] w Nowej Hucie.

Właściwie nic nie zagrali, bo sprzęt im się popsuł straszliwie, ale poczułem takie przyciąganie (*śmiech*). Po kilku rozmowach z Grzesiem Dyduchem zaproponowałem, żebyśmy obmyślili zespół. Mieliśmy początkowo grać we dwóch, wtedy jednak zaczął jęczeć, że bez perkusji nie da rady. A potem pojawiła się gitara. Ja nie wierzyłem, że kiedykolwiek nagramy płytę, ale byliśmy na tyle młodzi i świeży, że przypadkiem stworzyliśmy materiał o wielkiej energii.

– Zawsze podkreśla pan, że „grupa >>Świetliki<< to nie Świetlicki”. Jaki zatem ustrój panuje wśród muzyków?

– Wszyscy rządzą oprócz mnie (*śmiech*). To rodzaj demokracji. Ale zdecydowanie niektórzy są w niej silniejsi. Określanie mnie mianem lidera na pewno nie jest dobre. Nie interesuję się rządzeniem.

– A gdyby jednak to od pana zależała muzyczna strona kapeli, to jaki charakter brzmienia by dominował?

– Zdecydowanie byłoby agresywniej. Na naszych płytach jest dość różnorodnie. Ja postawiłbym na radykalizm. Może byłoby monotonna. Gdy słucham starych płyt, jest tam dla mnie zbyt wiele udziwnień i gwałtownych zmian. Nasz basista nie potrafi grać w kółko jednego motywu, i stąd te wszystkie dodatki przeczące minimalizmowi.

– A czy zamieszanie, jakie panuje wokół koncertów, sprawia jeszcze przyjemność?

– Coraz mniejszą. Wcześniej lubiłem moment, gdy przełamywałem swoją wrodzoną nerwicę i bez wstydu wykrzykiwałem jakieś słowa. Teraz mnie to męczy. Może tak naprawdę dlatego, że od dawna nie napisałem żadnej nowej

Ś jak śmierć



fol. www.trojmiasto.pl

piosenki i już pewien czas rządzi mną automatyczne wyrzucanie z siebie tekstów. Umysł się w to coraz mniej angażuje. Emocji też już obecnie brak. Stary jestem właściwie. Ale z rozpędu zagramy coś jeszcze.

- Jak pan zatem wspomina współpracę z innymi artystami? Było równie męcząco?

- Kolegom z zespołu nigdy nie podobala się moja współpraca z innymi twórcami. Dla mnie było to jednak bardzo ciekawe i różnorodne muzycznie, co spowodowało, że bardzo to polubiłem. Bez względu na to, z kim się pracuje, zawsze pozostaje w człowieku ogromne wzbogacenie osobistego doświadczenia. Mikołaj Trzaska na przykład jest zawodowym muzykiem i choć dobrze mi się z nim pracowało, to jednak nie do końca się rozumieliśmy. On granie koncertów

traktował jak rutynową pracę, rok temu zauważyłem jednak, że rozwinął się w swojej profesji ogromnie, a ja nadal robię, co robiłem (*śmiech*). Chętnie nagrałbym z nim jednak płytę, czego nie mogę powiedzieć w wypadku Cezarego Ostrowskiego. Nagrania z nim traktowałem jako jednorazowe doświadczenie, a tymczasem on posiada już obecnie materiał na kolejnych dziesięć płyt. Elektronika to nie jest jednak to, co byłoby w stanie mnie długoterminowo pociągać...

- Czyli jednak jazz?

- Tak. Z formacją „Czarne Ciasteczka” zarówno zagrałbym jeszcze koncerty, jak i nagrał płytę. Całkowicie nie mamy jednak na to czasu. Złot Gralak jest zapracowanym muzykiem, zaplątanym w tysiące różnych projektów. Warto byłoby jednak kiedyś to tego zamysłu wrócić.

- A w jakiej kondycji są „Świetliki” po szesnastu latach działalności?

- Piszę coraz mniej piosenek. Nie chce mi się. Chłopcy z zespołu też właściwie jakoś nie komponują ostatnio. To jest spowodowane chyba brakiem tych emocji, które pojawiały się przy nagrywaniu pierwszych płyt. Może to wina czasu. Jesteśmy jak stare dobre małżeństwo i wiele momentów razem przeszliśmy, i dlatego na razie wszystko trwa, ale boję się, że trzydziestelecie „Świetlików” już nie będzie. Trzeba być świadomym, że w pewnym momencie niektóre rzeczy mają prawo się po prostu skończyć.

Rozmawiał Bartosz Walat

*fragment wiersza „Opluty(44)”, który ze względu na wyznaczenie „kiedyś to miasto będzie należało do mnie” i proroczą zapowiedź „sprzątnąć wszystkich”, stał się jednym ze sztandarowych tekstów Marcina Świetlickiego

Kraków od spodu

Na Juwenaliach KSW 2008

KAŻDY SIĘ WYSZALAŁ...

Bartosz Walat

Zgodnie z tradycją na początku maja Kraków należał do studentów, którzy z natury opanowali każdą scenę i nawet najbardziej zakamufLOWANY klub. 7 maja odbył się juwenaliowy koncert zorganizowany przez Samorząd Studentów Krakowskiej Szkoły Wyższej...

Tegoroczne juwenalia jak zwykle wzbudziły mnóstwo emocji i zgodnie z przypuszczeniami dowiodły, jak silną pozycję stanowią w corocznej ramówce masowych wydarzeń. Przez cały tydzień (dla niektórych dłużej, nawet i do dziś) odbywały się różnorodne imprezy, które z założenia trafiały do studentów różnych przekonań i upodobań muzycznych.

W ramach juwenaliów KSW 2008 w klubie „Midgard” zorganizowano klubową imprezę, będącą przygotowaniem zebranych do kulminacyjnego, a na parkingu przed kampusem Krakowskiej Szkoły Wyższej pojawiły się grupy studentów szukających klimatycznych wrażeń.

W tym roku Samorząd Studentów zafundował zebranym mieszankę rytmicznych dźwięków, niepozwalających uczestnikom stać obojętnie. Na koncercie plenerowym wystąpiły postacie kojarzone z kolektywami na stałe wpisanymi w krajobraz polskiego rynku muzyczne-

go. Publiczność bawiła się przy samplach takich osób, jak Lady Marika (Bass Medium), DJ Bart (Mad Crew), Joka (Kaliber 44), Numer Raz (Warszafski Deszcz), Ras Luta (East West Rockers) czy Grubson (Siła-z-Pokoju).

Wymienione formacje są chyba najlepszą rekomendacją atmosfery, w jakiej odbywał się występ i przypuszczalnie łatwo wyobrazić sobie, jak zestawienie ragga, rapu, dancehallu, reggae i hip-hopu wpłynęło na zachowania przepełnionych energią słuchaczy.

Z godziny na godzinę na Herlinga-Grudzińskiego I pojawiała się coraz większa rzesza rozbawionych studentów, a na zakończenie koncertu wszystkie grupy zostały nagrodzone nieposkromionym aplauzem – to chyba wystarczająca rekomendacja, która mam nadzieję przyczyni się do kolejnych inicjatyw o podobnych charakterze, i co więcej, nie pozwoli studentom czekać aż 365 dni.

Tymczasem w kalendarzu kieszonkowym pojawiają się daty oznaczone



JUWENALIA KSW

DZIEŃ I
06.05.2008 WTOREK
IMPREZA KLUBOWA
KLUB MIDGARD
UL. SZPITALNA 38
ZAGRA: DJ SHARP
START: 20:00
WSTĘP ZA DARMO
ZA OKAZANIEM LEGITYMACJI STUDENCKICH

DZIEŃ II
07.05.2008 ŚRODA
KONCERT PLENEROWY
ZAPAR:
GRUBSON/SIŁA-Z-POKOJU/
RAS LUTA/EAST WEST ROCKERS/
NUMER RAZ/WARSZAFSKI DESZCZ/
JOKA/KALIBER 44/
DJ BART/MAD CREW/
LADY MARIKA/BASS MEDIUM/
START: 20:00
WSTĘP ZA DARMO ZA OKAZANIEM LEGITYMACJI STUDENCKICH
(KAMPUS KSW UL. HERLINGA-GRUDZIŃSKIEGO I)

Organizator:



Patronat sprawują:



dlastudenta.pl

studentnews.pl

Sponsor generalny:



Chcesz poznać nowych i ciekawych ludzi na uczelni?

Interesuje Cię przeprowadzanie badań i doświadczeń socjologicznych?

Masz ochotę wziąć udział w obozach naukowych?

Pragniesz zrealizować swoje pomysły?

Jesteś otwarty i chętny do wspólnego działania?

Jeśli choć na jedno z tych pytań odpowiedział(-a)s „tak”,

zapraszamy do współpracy z nami!

Przyjdź na spotkanie koła, zobacz nas i zadaj pytania.

Informacji szukaj na stronie internetowej: <http://groups.google.pl/group/knsskskw>

lub pisz na adres e-mail: knsskskw@gmail.com.

mianem sesja... Już słysząc melancholijne głosy „jak ten czas szybko mija”... ■

Członkowie Koła Naukowego
studentów socjologii Krakowskiej Szkoły Wyższej



Pod hasłem „Każdy krok zbliża do celu”

Biegali wokół Plant

18 maja br. odbył się w Krakowie po raz pierwszy bieg Cracovia INTERRUN 2008. Impreza miała na celu popularyzowanie biegania wśród mieszkańców Krakowa i Małopolski. Honorowy patronat nad imprezą objął prezydent Krakowa Jacek Majchrowski. Linie startu przekroczyło 2100 osób, w tym również znane osobistości ze świata kultury i mediów.

Na starcie stawili się m.in. Jerzy Fedorowicz, znany aktor, reżyser teatralny, obecnie poseł; prof. dr hab. Andrzej Klimek, rektor elekt AWF; prof. dr hab. Jerzy Żołądź, prorektor AWF; Waław Mirek, trener kadry PZLA; Paweł Bystrowski, przewodniczący Komisji Sportu i Turystyki RMK; Waław Mirek, trener kadry Polski kobiet w chodzie sportowym; Janina Mańska, wielokrotna mistrzyni Polski w biegach maratońskich; i Edyta Lewandowska, wielokrotna reprezentantka Polski w kraju i za granicą (zdobyła liczne medale w mistrzostwach Polski, objęta jest szkoleniem olimpijskim przez Polski Związek Lekkiej Atletyki).

Malownicza trasa około 5-kilometrowego biegu przebiegała Plantami wokół Rynku Głównego. Dlaczego Planty? Bo właśnie wokół Plant został rozegra-

ny pierwszy w Krakowie bieg otwarty w 1921 roku. Start Cracovia INTERRUN 2008 zlokalizowany został na ulicy Bernardyńskiej. Po okrążeniu Plant uczestnicy imprezy wbiegali w ulicę Podzamcze w okolicy Wyższego Seminarium Duchownego, a następnie ruszali w kierunku Bulwaru Czerwieńskiego. Meta biegu ustawiona była pod Wawelem w pobliżu Smoka Wawelskiego.

Hasło biegu to „Każdy krok zbliża do celu”. Cele uczestników były różne: dobra zabawa, sprawdzenie swojego czasu, spotkanie aktywnych ludzi Krakowa, pomoc dzieciom z Siemachy. Część dochodów uzyskanych z pakietów startowych przekazana zostanie Stowarzyszeniu „U Siemachy”.

Po przebiegnięciu dystansu 5 km wszyscy uczestnicy zostali nagrodzeni na mecie medalem oraz posiłkiem regeneracyjnym w postaci banana, batona oraz wody mineralnej. Na miejscu zaraz po zakończeniu biegu każdy z uczestników miał możliwość sprawdzenia swojego czasu, który również wraz ze zdjęciem pamiątkowym z mety został później umieszczony na www.interrun.pl.

Organizatorzy INTERSPORT Polska SA i OSiR Krakowianka dodatkowo

podczas biegu przeprowadzili konkurs na „Najbardziej rozbieraną szkołę/uczelnię/firmę/organizację Krakowa”. Nagrodzone zostały szkoły, uczelnie i firmy, które najliczniej stawiały się na starcie. ■

Wyniki konkursu

Cracovia INTERRUN 2008:

„Najbardziej rozbierana szkoła podstawowa” – Szkoła Podstawowa nr 62 w Krakowie.

„Najbardziej rozbierane gimnazjum” – Gimnazjum nr 77 w Krakowie.

„Najbardziej rozbierany zespół szkół” – Zespół Szkół Mechanicznych nr 2 w Krakowie.

„Najbardziej rozbierane liceum” – Liceum Ekonomiczne nr 2 w Krakowie

„Najbardziej rozbierana uczelnia wyższa” – Akademia Wychowania Fizycznego w Krakowie.

„Najbardziej rozbierana firma” – Radio RMF FM.

„Najbardziej rozbierana organizacja” – Stowarzyszenie „U Siemachy”

Najliczniejszą ekipę biegaczy w liczbie 300 osób wystawiło Stowarzyszenie „U Siemachy”, które poza dyplodem oraz pucharem jako nagrodę główną otrzymała bon towarowy wartości 9 tys. zł.

**Stworzyć klasę polityczną,
jakiej jeszcze dotychczas
w Polsce nie było...**

Elitarna szkoła dla elit

Iwona Faron

Jedynie 6 i pół tysiąca zł za rok nauki, jedynie 40 osób z całej Polski, kariera polityczna na wyciągnięcie ręki... Wszystko to w nowo otwartej Szkole Liderów Politycznych działającej od niedawna przy Wyższej Szkole Europejskiej im. ks. Józefa Tischnera w Krakowie.

Atmosferę podsyca fakt, że patronować będzie tej placówce oświaty w wersji mini sam Kazimierz Marcinkiewicz (pamiętamy jego słynne „Yes, yes, yes!”). Ale jak sami wiemy, często liczy się nie ilość, ale jakość. Pomysłodawca podkreślał kilkakrotnie podczas inauguracji działalności szkoły, że w jej murach zostanie stworzona klasa polityczna, jakiej jeszcze dotychczas nie było, jak Polska długa i szeroka. Bylemu premierowi najwyraźniej odpowiada nauczanie bycia i obycia na polskiej scenie politycznej. Szkoda tylko, że do takiej szkoły nie trafia politycy z najwyższych półek, obecnie piastujący urzędy.

Podczas uroczystości Kazimierz Marcinkiewicz mówił również, że od polityków wymagać trzeba silnego charakteru, profesjonalizmu i traktowania swej pracy jako służby, ale także umiejętności komunikowania się z różnymi środowiskami i gry zespołowej. Ciekawe jest, że założenia i sama idea klóci się z prezentowanym wizerunkiem polityka, jaki mamy średnią przyjemność oglądać na co dzień. Zagadkowe jest również, jak sam Marcinkiewicz byłby stosował się do tych zasad, gdyby nadal łączyła go silna partyjna nić z polityką.

Wątpliwości mogą być rozwiane w bliżej nieokreślonej rzeczywistości, ponieważ podkreślił w wywiadzie dla dziennikarzy, że słowo jeszcze się nie rzekło i nie jest pewne, że do polityki już nigdy nie powróci.

Zanim jednak Marcinkiewicz będzie wdrażał swoje poglądy bezpośrednio w polityce, zajmie się wykładaniem ekonomii w swojej autorskiej szkole. Oprócz niego studenci podyplomowi będą słuchaczami m.in. Adama Bielana, Jerzego Buzka, Rafała Dutkiewicza, Marka Cichockiego czy Jana Rokity.

Sami studenci również są osobami aktywnymi zawodowo, bo to przede wszystkim samorządowcy, biznesmeni, działacze organizacji pozarządowych, asystenci polityków różnych partii. Jak widać – elitarna szkoła dla elit. Przecież nie chcemy, żeby reprezentowali nas ludzie niekompetentni? ■



anty_konceptja tandety

– Gdyby ktoś był wyznawcą Boba Marleya, mógłby się poczuć urażony...



O reggae i rzeczywistości, w jakiej realizują się marzenia, rozmawiamy z PIOTREM MAŚLANKĄ*

– Przyjechałeś do wymarzonego i legendarnego miasta, a z czasem stałeś się jego nieodłącznym elementem...

– Przesadziłeś! (śmiech).

– No, ale jednak musisz przyznać, że to, jaką rolę odgrywa obecnie Karrot Kommando i Paprika Korps, nie są piwnicznymi nizinami!

– No tak, choć właściwie nigdy się nad tym nie zastanawiałem. Moja działalność opiera się na dwóch płaszczyznach, jednak zarówno w grupie Paprika Korps, którą współtworzę od dekady,

jak i w agencji wydawniczej Karrot Kommando zauważam jeszcze dużą potrzebę zmian. W każdej z tych inicjatyw wszystko, krok za krokiem, przybierało coraz bardziej profesjonalny i tym samym zadowalający charakter, ale myślę, że jeżeli w jakiegokolwiek koncepcji motorem działania są pasja i upór, to z biegiem czasu można zdziałać ogromnie dużo.

– Rozumiem więc, że okrzyknięcie grupy Paprika Korps „najczęściej koncertującym po Europie polskim zespołem reggae” to też wynik wytrwałości?

– Tak, to była ciężka i mozolna praca. Początkowo polegało to na rozsyłaniu mnóstwa kaset i oczekiwaniu na jakąś odpowiedź. Statystycznie pięćdziesiąt na dwieście wysłanych nagrań miało jakiś sensowny rezultat. Ale jednak zawsze do-

chodziło do realizacji choćby częściowych przedsięwzięć. Gdy podróżowanie po całej Europie samo z siebie stało się dla nas pasją, byliśmy niezmiernie usatysfakcjonowani, że dzięki tym koncertom możemy się realizować bez dodatkowego wkładu finansowego. Wszystko jednak, co robiliśmy i robimy, rozwija się stopniowo.

– Jak jesteście odbierani za granicą?

– Przyznam, że różnie. Najchętniej jeździmy do Finlandii i Chorwacji, bo tam akurat relacja z publiką przybiera wymiar bardziej zaawansowany niż w Polsce. W każdym kraju jest specyficzny klimat na reggae. Nas cieszy to, że nawiązujemy tam przyjaźnie, które owocują później kolejnymi trasami w dotąd nie poznane przez nas rejony Europy.

– Stwierdziłeś kiedyś, że „Karrot Kommando to było marzenie”. Jak trudna jest realizacja tak skomplikowanych aspiracji?

– Zawsze inspirowała mnie działalność zagranicznych agencji, w których płyty zespołów wydają najbliżsi przyjaciele i w dodatku zajmują się organizacją koncertów. Te dwie zające się aktywności w bardzo rzeczowy sposób mogą się stać receptą na poradzenie sobie w polskich realiach. Obecnie w pracach Karrot Kommando uczestniczą wszyscy członkowie Papryki, co jest właśnie niejako spełnieniem marzeń, choć daleko nam jeszcze do pełnego zadowolenia. Czy trudno było dojść do tego momentu? Z jednej strony tak, bo przecież od kilku lat pracujemy na pełnych obrotach, często poświęcając życie prywatne na rzecz działalności fir-

my, ale z drugiej wszystko u nas działa się w sposób naturalny, stopniowo i cały czas robiliśmy i robimy to, co kochamy.

- Z naturalnego rozwoju działalności stałeś się przedstawicielem „Świetlików?”

- Przyjechałem do Krakowa w 2004 roku i z natury zacząłem się interesować tutejszą sceną muzyczną. Poznałem perkusistę grupy „Świetliki” Marka Piotrowicza, który również uwielbia grać reggae, i z czasem, gdy nasza znajomość przemieniła się w przyjaźń, wskrzesiliśmy wraz z innymi muzykami do życia zespół Duberman. Właściwie to był początek tej współpracy.

- Czyli kluczem do managementu „Świetlików” było reggae?

- Tak (*śmiech*). Świetliki miały problem ze stałym menedżerem, a ponieważ znałem Marka i miałem doświadczenie wyniesione z grania z innymi kapelami, zostałem mianowany na tę funkcję. To dla mnie wielka frajda z nimi przebywać i jeździć w trasy koncertowe, najwyższa poprzeczka, jeśli chodzi o osobowości.

- Kraków jest podatny na reggae?

- Zdecydowanie tak. Wszystkie kapele, jakie znam, uwielbiają tu przyjeżdżać. Na koncerty przychodzi mnóstwo osób i myślę, że każdy z naszych zespołów umieściłby któryś z koncertów w Krakowie w trójce najlepszych w życiu. Już jako dziecko przyjeżdżałem z rodzicami do Krakowa bardzo regularnie. Wybór tego miasta to właściwie realizacja młodzińskich marzeń. Muszę jednak przyznać, że obecnie podejmujemy tyle inicjatyw wymagających wyjazdów, że Kraków pełni dla mnie rolę miasta, do którego po prostu uwielbiam wracać.

- Rozmawiałem ostatnio ze Sławkiem Shutym o środowisku literatów i filmowców. Powiedz, jak oceniasz obecną sytuację w kręgu muzycznym.

- Jest zdecydowanie lepiej. W latach 80. reggae w Polsce cieszyło się dużą popularnością, którą realia lat 90. pograżyły. Obecnie choćby zespół Vavamuffin gromadzi mnóstwo publiczności. Zainteresowanie, jakie budzą ich koncerty, przyrównać można do rangi fenomenów. Ta scena naprawdę jest coraz bogatsza. Choćby liczba debiutujących zespołów



może zaświadczyć o tym, jak silna musiała istnieć potrzeba takiego grania, skoro przebiła się ona przez barykadę masowych praw rynku. Gdy teraz przyglądam się, w jakim tempie wzrasta popularność zespołu Żywiolak, który nie nagrał jeszcze płyty, a już stał się bardzo popularny, jestem pełen optymizmu. Nadal będę wspierać projekty, które mi się podobają – nawet jeśli wiele z nich nie trafi do szerszego grona słuchaczy, a wkład w nich złożony się nie zwróci.

- A co jest obecnie najbardziej potrzebne młodym kapelom?

- Chęć do działania, upór, a przede wszystkim dobre pomysły muzyczne. Czasy mamy o tyle lepsze, że dawniej wstyd było za granicą pokazać się ze sprzętem nawet przed supportującym zespołem. Dziś muzycy dysponują dostępem do lepszego sprzętu, niejednokrotnie wybierają wyłącznie muzyczną drogę, zamiast traktować to wyłącznie jako hobby.

- Może to, co się teraz dzieje, jest po prostu odrodzeniem klimatu muzycznego lat 80.?

- Raczej nie. Odnoszę wrażenie, że scena reggae lat 80. miała swe

korzenie bardziej w punk rocku niż w tradycjach muzyki reggae. Ta nowsza bardziej czerpie z jamajskich, a teraz to i europejskich wzorców, co bynajmniej nie oznacza, że nie poważam tej pierwszej. Po prostu niekoniecznie widzę powiązania estetyczno-muzyczne.

- Lata 80. - latami buntu, a teraz epoka nieskażonych szans?

- Wydaje mi się, że obecne realia stwarzają możliwości. Myślę, że problemem jest to, iż ludziom w Polsce często nie chce się działać. Nie wiem, czy to brak wiary w siebie, czy może jakaś tradycyjna przypadłość o nazwie „lenistwo”, ale wiele osób często decyduje się na pracę, której same nie lubią, i nie próbują być w niej lepsi, rozwijać się, uczyć. Jest naturalne, że czasami warunki dyktują zbiegi okoliczności i szczęście, ale nie słyszałem o człowieku, który do końca był wytrwały, a jednak poniósł całkowitą klęskę.

- Dlaczego w każdym napotkanym wywiadzie dotyczącym Papriki Korps pojawiają się po trzy pytania drążące temat „Skąd miano heavy reggae”?

- Od początku działalności prezentowaliśmy dość specyficzne brzmienie. Gdyby ktoś był wyznawcą Boba Marleya i nie znając nas, przyszedł na koncert, mógłby się poczuć urażony (*śmiech*). Paprika tak naprawdę jest bardzo daleko od „jamajki”. Odkąd organizatorzy koncertu w Niemczech przypisali nam ów slogan, umieszczamy go w naszych internetowych opisach.

- Internet stał się skutecznym megafonem do rozgłaszania działalności?

- Zdecydowanie tak. Nawet w 2000r, gdy organizowałem pierwszą trasę, wszelkie procedury opierały się jeszcze na długotrwałych negocjacjach na bazie rozmów z telefonów stacjonarnych. Cały proces wyglądał całkiem inaczej niż dziś. No ale gdy pomyśle, że dekadę przed moim początkiem wszystkie formalności załatwiano się listownie, to stwierdzam, że i tak nie było źle.

- Rozmawialiśmy o marzeniu zrealizowanym. Jakież kolejne wymusza już ciąg nowych inicjatyw...

- Karrot nie jest jeszcze zorganizowany na każdej płaszczyźnie. I to właściwie nadal stanowi priorytet w moim działaniu. Cały czas pracujemy nad pobocznymi wymiarami agencji. Internetowy sklep z muzyką to chyba pierwszy pomysł, który w niedługim czasie doczeka się realizacji. Wciąż stawiamy na profesjonalizm. Ogrom przedsięwzięć, które koordynujemy, pochłania jednak tyle czasu, że myśl o wymarzonym festiwalu pozostawiam na razie w sferze działania wyłącznie podświadomego...

Rozmawiał
Bartosz Walat

*Piotr Maślanka - muzyk i wokalista zespołów Paprika Korps, Ragana i Duberman. Założył agencję Karrot Kommando i został menedżerem licznych zespołów (m.in. Świetliki, Vavamuffin i Żywiołak).



Jeśli na sushi, to do „Youmiko” przy ul. Szczepańskiej 7

Azjatyckie specjały w POPformie

Joanna Oparcik

Znacie dni, kiedy pozimowy, szary krajobraz, tak już daleki od romantycznych i śnieżnych nawiązań do XIX-wiecznej rosyjskiej prozy (ach, te kuligi, te czapy futrzane), przestacza się na naszych oczach w krajobraz przedwiosenny, z krzewami fuksji jakby czekającymi na wystrzał startera, pozwolenie, by zaatakować ze zdwojoną mocą. Moi drodzy – oto wiosna nadeszła.

Jeśli jednak mieszkacie w naszym mieście już jakiś czas, to dobrze wiecie, że owa transformacja nie przechodzi tak gładko. Że wraz z nadejściem wiosny Kraków najpierw zostaje zaatakowany przez to, co nieubłagalne, czyli przez słynny porywisty halny.

To dziwne zjawisko, od lat będące obiektem badań tegich głów, powoduje zagadkowy wytrzeszcz wśród przechodniów. Oczy wielkości spodków wraz z morderczym błyskiem to standard. Jest to też owa dziwna siła sprawcza, która pozwala służbom policyjnym i sądowym łaskawszym okiem spojrzeć na popełnione w tym okresie zbrodnie.

Właśnie taki dzień wybrałam sobie na odwiedzin w najnowszej knajpie sushi w mieście – „Youmiko”. A gdy halny wieje, niech Bóg (lub inne bóstwo) broń szefa kuchni przed błędem – w te dni każdy recenzent kulinarny, nawet amator, jest dwa razy ostrzejszy i co tu dużo mówić, dwa razy bardziej upierdliwy.

Knajpka znajduje się w jakże ostatnio popularnej okolicy pl. Szczepańskiego (ul. Szczepańska 7), gdzie jej niepozorny szyld prowadzi nierówną walkę z rozpartym wygodnie molochem spod znaku rodziny Likusów hotelem „Starym”, skutecznie monopolizującym uwagę spacerujących krakusów i turystów.

Dyskretna oficyna, w którym mieści się „Youmiko”, nie zapowiada, że oto za chwilę znajdziemy się w miejscu.

Na pewno wywoła ona na naszym strapionym obliczu uśmiech. Ale oto jest – już z daleka widać jasno oświetlone wnętrze, w drodze do którego przechodzimy przez malutkie podwórko. Nawet to miejsce zasługuje na uwagę – po lewej stronie, na murze oddzielającym dwa podwórka, wyraźnie nadpobudliwy artysta odmalował lekką ręką pejzaże, które dodają niesamowitej przytulności temu, co na zewnątrz baru. Jeśli dodać do tego oparte o mur dwa stare „holendry”, nic dziwnego, że zaraz to miejsce skojarzyło mi się z młodymi dzielnicami Berlina, Paryża czy Pragi.

Otwieramy drzwi – pomieszczenie wielkości łupinki od orzecha mieści cztery wysokie stoliki wraz ze stołkami barowymi. Można usiąść także przy barze, co i tak łącznie sprawia, że maksymalnie zmieści się tu dwadzieścia osób. Jasne ściany wraz z ogromnymi czerwonymi kołami z pleksiglasu nawiązują do motywów flagi Kraju Kwitnącej Wiśni. Nie jest to może najbardziej „high-end” wystrój, jaki widziałam, co bynajmniej nie jest zbrodnią.

Architektura tego lokaliku (ach, te żrące zielone kable od głośników), która bez wątplenia nadaje atmosferze nieco prowizoryczności i tymczasowości, sprawia że „Youmiko” (w przeciwieństwie do swoich starszych kolegów) nie aspiruje do tego, żeby być tą „największą” i „najbardziej japońską” z restauracji istniejących na krakowskiej scenie. Brak tego zadęcia przejawiający się nie tylko w uroczym bezpretensjonalnym wystroju wnętrza (zwróćcie uwagę na tradycyjnego kotka życzącego wszystkim pomyślności – gdybym była zmalowaną japońską nastolatką, rodem z dzielnicy Harajuku, zapewne musiałabym zaklaskać i z głośnym zaśpiewem zapiszczać „kawaii!!!!!!”), ale i w sposobie serwowania potraw nie stwarza przynajmniej bariery dla początkujących klientów, goto-

wych uciec zaraz po przekroczeniu progu lokalu w stylu Edo (przy całym szacunku dla serwowanych tam dań).

Już sama nazwa – „Youmiko” – sprawia że w przeciwieństwie do poważnie brzmiącego „Hori”, monumentalnie i tradycyjnie brzmiącego „Edo” czy profesjonalnie „Sakana Sushi Bar” wiemy, że ów bar jest miejscem, gdzie możecie zabrać przyjaciół bez strachu, że oniśmieleni całą tą otoczką, powstrzymają się w swoim zamówieniu jedynie do herbaty i to bynajmniej nie tradycyjnie jaśminowej.

Paradoksalnie właśnie ta prowizoryczność jest wielkim plusem „Youmiko”. Warto bowiem sobie przypomnieć, że tradycyjne miejsca, gdzie dostaniemy azjatyckie specjały, to bary – a więc jak sama nazwa wskazuje – miejsca stosunkowo niedrogie, oferujące smaczne i proste jedzenie, na które nie trzeba czekać w nieskończoność. Na ironię zakrawa fakt, że o ile w Europie restauracje/bary sushi są miejscami „szczytującymi” się wysokimi cenami, o tyle te same miejsca w ojczyźnie tych smaków są punktem codziennych spotkań, a co za tym idzie – jednymi z najtańszych. Oczywiście, zapewne wynika to z dostępności miejscowych produktów, ale nie przesadzajmy – ceny sushi, nawet tych zrobionych ze składników dla nas egzotycznych, nie powinny osiągać takich rozmiarów. Ot, puste zadęcie...

Manu nie jest bardzo rozbudowane – brak mi w nim szczególnie alkoholi japońskich (polecam pyszne wino śliwkowe), ale także informacji o innych napojach – a wbrew pozorom takowe są dostępne. Tradycyjnie – kawa lub herbata (trzy rodzaje, w tym warta polecenia „Genmaicha” z prażonego ryżu lub tradycyjna herbata jaśminowa). Właśnie ze sposobem podania napojów spotkał mnie mały zawód – herbata nie została zaparzona tradycyjnie w imbryczku i podana

wraz z czarkami, ale w dziwacznej wysokiej dużej szklanicy. Uwaga do właścicieli – jeśli to kwestia kosztów, to naprawdę ceny imbryków nie są aż tak wysokie i warto się zastanowić nad zmianą.

Menu jest typowe dla barów japońskich, a nie restauracji – dlatego na próżno się tu doszukiwać przystawek, gorących zakąsek czy dań z owoców morza. Jedyne, co może nam dodatkowo umilić posiłek złożony z sushi, to zupy, które w menu są trzy, co jest ilością wystarczającą (choć w związku z nową porą roku może warto się zastanowić nad dodaniem nowych pozycji? Delikatna i słodkawa zupa na bazie sosu rybnego i tradycyjnie japońskiego cukrowego groszku byłaby idealna na wiosnę).

Zamówiona przeze mnie Sakana to hakusai (ryba i kapusta pekińska). Była idealna – chrupiące, bynajmniej nierozmoknięte kawałki świeżej kapusty i delikatne, doskonale ugotowane mięso stworzyło spójną, choć jak na mój gust trochę za delikatną kompozycję (z tym poradziłam sobie kilkoma kroplami ze stojącej na każdym stoliku butelki z esencjonalnym sosem sojowym). Pozostałe dwie (obie oparte na tofu plus glony Wakame lub jako alternatywa grzybki Shiitake) wedle słów moich towarzyszy także były smaczne i co najważniejsze – świeże. Tu uwaga – bardzo dobry pomysł podania zup – miseczek wraz z przykrywkami i dużymi, płaskimi porcelanowymi łyżkami – widać, że szefostwo odrobiło lekcję.

Po tym miłym początku nastąpił czas głównego sprawdzianu dla klasy lokalu i dla naszych żołądków. Można wybrać spośród kilku rodzajów sushi – małe i zgrabne Hosomaki (6 sztuk); duże rolki Futomaki (8 sztuk); trudniejsze do skonsumowania, ze względów technicznych, odwrotne Uramaki (6 sztuk); ręczne Nigiri (2 sztuki) czy w końcu sprasowane w specjalnym pudełku Oshiwaku Oshizushi (5 sztuk) dają ogromne możliwości skomponowania własnego menu. Oczywiście, możemy również zdać się na osąd szefa kuchni, wybierając dania z przygotowanego już menu.

Wszystko było świeże i bardzo smaczne. Wprawdzie jeszcze lekko ciepły ryż (co jest dowodem na to, że sushi robi się na bieżąco dla każdego klienta) mógłby być nieco wyrazistszy, ale podany dla odświeżenia między kolejnymi kęsami piklowany, różowy imbir (Beni



Shoga) okazał się idealny – nie miał owej niemiłej, niekiedy nadmiernej ostrości (to zadanie wystarczająco spełnia dołączona również do wszystkich dań kulka zielonej pasty Wasabi).

Drewniane deseczki do podawania sushi (sushi geta) ukazały naszym oczom feerię smaków, a żołądkom zaserwowały ich symfonię. Już małe Asaparo z zielonymi chrupiącymi (a przecież nie ma sezonu!) szparagami, Shiitake z pysznym, bynajmniej nie rozmienianym (co często się zdarza) grzybkami czy doskonale Kalifornia z awokado, majonezem i delikatną sałatą dowiodły, że kucharz zna się na rzeczy i lubi to, co robi.

Równie dobrze kuchnia zdała sprawdzian zamówień większych i trudniejszych dań – przepyszne ręczne Nigiri z rybą maślaną (Ibodai) potwierdziły klasę lokaliku – ryż miał doskonałą kleistość, a ryba okazała się mięsista i jędrna. Nie inaczej było z podanym mi sprasowanym Sake Oshi, tu wyrazisty smak wędzonego łososia zrównoważony został delikatnym zielonym ogórkiem. Towarzystwo, które postanowiło postawić na skomplikowany miks pieczonego węgorza, omletu i szparag (Unagi), a także zgrabnych Wakame (z paluszkami kra-

bowym omletem i glonami), nie żałowało wyboru. Wręcz przeciwnie – szybkie zniknięcie potraw z naszego stołu najlepiej podsumowało ocenę tego miejsca.

Youmiko jest idealne dla początkujących adeptów japońskiej sztuki kulinarnej – nie ma tu tradycyjnych potraw restauracyjnych, często niemożliwych do przyjęcia dla opornych europejskich klientów. Poznamy za to podstawy, to, na czym opiera się kulinarna tradycja Japonii. Bezpretensjonalność baru pozwoli nam bez skrupowania zapytać, gdy czegoś nie będziemy wiedzieć, i może nas przygotować do poważniejszych przygód w lokalach poziomu Sakany lub Edo, chwalcących się swoim kunsztem.

Dla mnie jednak osobiście to, co poznałam, jest wystarczającym powodem, by to właśnie tu powracać (nie bez znaczenia są też bardzo konkurencyjne ceny – to właśnie tu można obecnie dostać najtańsze sushi w mieście). Pomaga w tym bez wątpienia zabawne i przejrzyste menu, które poprzez rysunkową formę bez problemu przeprowadzi początkujących mających kłopot z wyborem, a także miła i młoda obsługa. Plusem lokalu jest też możliwość zamówień na telefon z darmową dostawą powyżej 30 zł. ■



fot. Mirosław Żak

Bartłomiej Misiniec

Ecce Homo! – Oto Człowiek! Słowa pochodzące z Ewangelii wg św. Jana były inspiracją dla młodych artystów Krakowskiej Szkoły Wyższej, którzy pod kierunkiem dra Zbigniewa Latały i mgra Jędrzeja Bobowskiego przygotowali wystawę grafiki komputerowej w Galerii KSW na ul. Herlinga-Grudzińskiego 1.

Motyw przewodni ekspozycji już wcześniej wielokrotnie nurtował filozofów i artystów z różnych dyscyplin sztuki, jednak nigdy nie został zrealizowany na tak szeroka skalę przy użyciu najnowszych narzędzi, jakimi są właśnie media elektroniczne.

Sam temat okazał się na tyle szeroki, aby pomieścić wiele zróżnicowanych konwencji, zarówno pod względem merytorycznym, jak i technicznym. Dobór technik i interpretacji prowadzący po-

zostawili bowiem w gestii studentów, którzy potraktowali temat poważnie i z dużym zaangażowaniem, dzięki czemu wystawa stanowi w pewnym sensie popis ich umiejętności warsztatowych.

Należy unikać sytuacji, w których studenci tworzą tylko do szuflady – mówi dr Latała. – Udział w takiej wystawie ubogaci dossier każdego z nich. Poza tym element rywalizacji zawsze wychodzi im na dobre.

Prace zaprezentowano w klubie studenckim, który znajduje się w budynku A. Dotychczasowe jego wnętrza było dość zimne i pozbawione wyrazu, lecz obecna ekspozycja nadała mu wiele ciepła i dynamizmu. Jak podkreślił mgr J. Bobowski, całe przedsięwzięcie udało się uskuteczyć dzięki zaangażowaniu i energii dra Zbigniewa Latały.

Do każdej wystawy organizowanej przez Pracownię Elektronicznych

Form Realizacji studenci projektują także plakat. Zwycięska praca wygrywa po wewnętrznej konsultacji. Prowadzący zgodnie przyznają, iż bardzo cenią sobie spojrzenie młodych ludzi. – *Panuje pełna demokracja – zdradził mgr Bobowski – nasze głosy liczymy na równi ze studentckimi.*

– *Poza tym dyskusja wykładowcy studenci ma duże walory dydaktyczne – dodał dr Latała, który namawia swych studentów, aby prace przesyłali na Międzynarodowe Biennale Grafiki Komputerowej w Rzeszowie. Kilka z nich ma bowiem wyjątkowe szanse na zdobycie nagrody.*

Trzymamy więc kciuki za dalsze losy prac i zachęcamy naszych Czytelników do zapoznania się z ekspozycją, która na pewno skłoni do ważnej refleksji nad istotą człowieczeństwa. ■

